



Mirosław Derecki

MÓW PO POLSKU!

W swoich pięknie napisanych wspomnieniach „Oczarowania”, znana malarka i scenograf, Irena Lorentowicz, która na początku II wojny światowej trafiła na ziemię amerykańską, tak mówi o zetknięciu się z polonijnym szkolnictwem w Stanach Zjednoczonych i o zakonnicach prowadzących liczne szkoły parafialne:

„Były [zakonnice] niezmiernie ideowe, niezmiernie patriotyczne, uważały za swoje zadanie zachowanie wśród dzieci polskiej mowy [...] Była tam pamiętam, śliczna siostra Blanka o łagodnej uduchowionej twarzy. Jak jasny promień chodziła wśród dzieci z przypomnieniem: „Mów po polsku!”.

Teraz, podczas rozmowy z siostrą Cecylią, nazaretanką, nauczającą języka polskiego od kilkudziesięciu lat w dalekiej Filadelfii, wciąż przychodzi mi na myśl tamten passus z „Oczarowań”. W czasie, gdy Irena Lorentowicz pojawiła się, po swojej ucieczce z Francji, przez Portugalię, w Nowym Jorku, siostra Cecylia była jedną z tych młodych, pełnych poświęcenia zakonnice polskiego pochodzenia, prowadzących szkoły parafialne. I ona zresztą także uczyła, przed laty, w polskiej nowojorskiej, szkole...

Siostra Cecylia jest po raz drugi starościaną tegorocznego kursu Studium Metodyki Języka Polskiego dla Nauczycieli Szkół Polonijnych, działającego z inicjatywy lubelskiego Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS. Pierwszy raz powierzyli jej tę funkcję koledzy-słuchacze dwa lata temu, gdy pojawiła się w studium, jako osoba „bywała” w Lublinie, uczestniczka w 1984 r., kursu kultury polskiej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Teraz, w studium UMCS, siostra Cecylia jest słuchaczką trzeciego, najwyższego stopniem, kursu dla nauczycieli polonijnych, po którym pisze się już pracę dyplomową...

Kiedy przed trzynastu laty powstała na UMCS idea organizowania miesięcznych kursów wakacyjnych dla nauczycieli szkół polonijnych, liczone się z faktem, że nie od razu inicjatywa ta wzbudzi szeroki odzew. Istotnie, w pierwszym kursie wzięło udział zaledwie siedem osób. Potem jednak impreza zaczęła się szybko rozkręcać, zyskiwać rozgłos wśród światowej Polonii i słuchaczy przybywało coraz więcej. W ubiegłym roku w zajęciach studium Metodyki Języka Polskiego uczestniczyło trzydziestu siedmiu nauczycieli szkół polonijnych: w tym roku organizatorzy liczyli na czterdzieścioro słuchaczy a nadeszły

czterdzieści cztery zgłoszenia... Zresztą Lublin - jako ośrodek różnorodnych wakacyjnych kursów polonijnych - nabiera znaczenia. Przyjeżdżają tu grupy młodzieży na KUL; na UMCS-ie poza studium od lat ogromnym powodzeniem cieszą się kursy dla instruktorów zespołów folklorystycznych: na wakacyjny kurs kultury i języka polskiego dla młodzieży polonijnej w wieku 15-17 lat (organizowany już po raz piąty) zgłosiły się w tym roku aż dziewięćdziesiąt cztery osoby (ponad dwa razy tyle ile się spodziewano!)

Czyli, jak powiada do mnie siostra Cecylia: „Lublin jest gwiazdą, która świeciła, ale teraz to – błyszczy!”

Trzy lata temu kursy dla nauczycieli polonijnych zostały przekształcone w trzystopniowe Studium Metodyki Języka Polskiego z corocznymi zajęciami trwającymi dwadzieścia cztery dni.

Opracowanie programu nauczania w studium było problemem złożonym. Przyjeżdżają, tutaj nauczyciele o bardzo zróżnicowanym stopniu wykształcenia; ludzie zatrudnieni za granicą w różnych środowiskach. Jedni nauczyciele pracują odpłatnie, inni społecznie. Są tacy, którzy wykładają w szkołkach parafialnych, i tacy, którzy uczą języka polskiego, jako jednego z „języków obcych” w państwowych liceach. Np. we Francji, gdzie od dziesiątków lat istnieją całe okręgi zamieszkałe przez obywateli polskiego pochodzenia, jest wiele gimnazjów z prowadzonymi tam lekcjami języka polskiego, są lektoraty polskie na uniwersytetach. Natomiast w Szwecji - szczególnie w ostatnich latach, gdy napłynęła tam spora fala młodej polskiej emigracji - obserwuje się zapotrzebowanie na nauczycieli polskiego już dla dzieci w wieku przedszkolnym. (Dlatego też postanowiono w tym roku, wprowadzić w studium specjalne zajęcia metodyczne dla osób, które pracują tam z małymi dziećmi. Ze Szwecji przyjechało aż dziesięcioro nauczycieli, stanowią oni dominującą grupę wśród swoich kolegów z Austrii, Belgii, Danii, Finlandii, Francji, Holandii, NRD, RFN, Rumunii, USA i Włoch). Wśród samych nauczycieli są różni ludzie: tacy, którzy osiedlili się za granicą już w wieku dojrzałym, po skończeniu szkoły i studiów w Polsce, i tacy, którzy urodzili się poza krajem, a języka ojczystego uczyli się od rodziców i dopiero w kilkadziesiąt lat po przyjeździe na świat zobaczyli po raz pierwszy Stary Kraj...

Do tych ostatnich należy Maria Szydłowska. Czyli - siostra Cecylia, nazaretanka.

Urodziła się niedługo po pierwszej wojnie światowej, w Pensylwanii, w górniczym miasteczku Scanton, gdzie osiedlili się jej rodzice, emigranci spod Krakowa. Maria miała sześcioro rodzeństwa. Choć tylko najstarsza siostra, Franciszka, urodziła się w kraju, wszystkie dzieci doskonale mówiły po polsku, bo dbali o to i rodzice i sąsiedzi - Polacy, i miejscowa szkoła parafialna. Siostra Cecylia z rozrzewnieniem wspomina tamte czasy tamte amerykańskie rodzinne strony przepojone polskością; liczne uroczystości polonijne, patriotyczne obchody, akademie rocznicowe, przedstawienia amatorskich zespołów

teatralnych, występy chórów. Dzisiaj Polonia w Pensylwanii nadal jest silna i liczna, ale jednak to już nie tamte czasy. Wiele osób wynosi się w inne rejony kraju, bo coraz więcej kopalń węgla jest likwidowanych i górnicy muszą szukać pracy gdzie indziej. Na przykład w takiej parafii Św. Władysława w Filadelfii u księdza proboszcza Bernarda Witkowskiego trzeba było zamknąć parafialną szkółkę z powodu zbyt małej liczby polskich dzieci.

- Ale - dodaje zaraz siostra - Polonia przywiązuje nadal bardzo wielką wagę do kultywowania ojczystych tradycji i nauki języka polskiego. W naszej szkole dla dziewcząt w Nazareth Academy w Filadelfii prawie połowa uczennic uczestniczy w zajęciach z polskiego. Ciągłe suszą mi głowę, żeby w przyszłym roku koniecznie zorganizować szkolną wycieczkę do Polski...

Tę właśnie Nazareth Academy, w której od wielu lat siostra Cecylia prowadzi wykłady i zajęcia, skończyła kiedyś ona sama. Pod koniec nauki zdecydowała się na wstąpienie do nowicjatu, gdyż wówczas prowadzone przez amerykańskie nazaretanki liceum w zasadzie kształciło dziewczęta szykujące się do stanu duchownego. Teraz jest zupełnie inaczej: ogromna większość spośród 487 uczennic Nazareth Academy - Amerykanki włoskiego, irlandzkiego, hiszpańskiego i polskiego pochodzenia - sposobi się do zdobycia po maturze jak najbardziej świeckiego zawodu, traktując szkołę, jako na wysokim poziomie postawioną średnią uczelnię.

Siostra Cecylia o tym nawet nie napomyka, ale odnoszę wrażenie, że to właśnie dzięki jej staraniom przed dziesięciu laty (po dwudziestoletniej przerwie) wznowiono w Nazareth Academy zajęcia z języka polskiego. W ten sposób powrócono do wcześniejszej, liczącej trzydzieści lat, tradycji nauczania tutaj polskiego przez nazaretanki-Polki.

Przedtem siostra Cecylia przez wiele lat uczyła w polskich szkołach parafialnych, w różnych miastach i miasteczkach Stanów Zjednoczonych – matematyki, polskiego, geografii, śpiewu, tańców no i oczywiście, religii. Dziś poza Nazareth Academy prowadzi także zajęcia w filadelfijskim, posiadającym status wyższej uczelni, Kolegium Świętej Rodziny kształcącym min. przyszłe nauczycielki i pielęgniarki.

I jeszcze ma jedną pasję: organizuje konkursy recytatorskie. Na repertuar składają się polskie wiersze, po polsku mówione.

- Kiedy po raz pierwszy przyjechała siostra do Polski? - pytam w pewnej chwili.

- Wiosną 1980 roku - odpowiada.

To znaczy z górą sześćdziesiąt lat po przyjściu na świat...

- A ja przyjechałam do Lublina ze Szwecji nie tylko na naukę w studium, ale także w rodzinnej „misji specjalnej”! - Powiada pani Barbara Gagnelid.

Urodziła się ona w Polsce, w przededniu wybuchu II wojny światowej. Tutaj przeżyła lat niespełna trzydzieści i osiedliła się na przeciwnym brzegu Bałtyku dopiero dwadzieścia lat

temu, zaproszona do Szwecji przez swoją babcię, Ludwikę Broel-Platerową, nieżyjącą już obecnie znaną działaczkę społeczną i polonijną; ta z kolei zamieszkała tam zaraz po wojnie po uratowaniu się z kobiecego obozu Koncentracyjnego w Ravensbrück.

Już w Sztokholmie skończyła pani Barbara na tamtejszym uniwersytecie slawistykę; teraz mieszka w mieście Borlänge, dwieście osiemdziesiąt kilometrów na północ od Sztokholmu, w malowniczej krainie Dolarna, regionie najbardziej dla Szwecji reprezentatywnym, jeśli chodzi o stroje, folklor i w ogóle szwedzką tradycję.

Barbara Gagnelid należy do grona nauczycieli wędrujących. Każdego dnia wsiada do samochodu i objeżdża okoliczne szkoły, w których uczy języka polskiego. Bywa, że w ciągu takiej tury „zalicza” nawet siedem szkół. Bardzo to ciężka i wyczerpująca praca, ale co począć, skoro Polacy są rozsiani w niezbyt wielkich grupach po wsiach i miasteczkach regionu, a wszyscy pragną, aby ich dzieci miały w szkole zajęcia z polskiego.

W Szwecji każdy mieszkaniec obcej narodowości ma prawo do tego, aby jego dzieci mogły uczyć się w szkole państwowej ojczystego języka; przynajmniej przez dwie godziny lekcyjne tygodniowo. Nawet jeśli w szkole jest tylko jedno dziecko rodziców innej niż szwedzka, narodowości, musi mieć ono zapewnionego nauczyciela języka kraju, z którego pochodzą rodzice. Przed wędrującym nauczycielem staje problem nie tylko samego nauczania, ale także uczenia dzieci w bardzo różnym wieku. Zdarza się, że taki nauczyciel musi podczas lekcji nieraz bawić się z najmłodszymi misiem i lalkami, a z najstarszymi - prowadzić zajęcia, np. z literatury polskiej na poziomie liceum...

Ale wracajmy do Lublina i do rodzinnej „misji specjalnej”, którą, być może, przed śmiercią obarczyła panią Barbarę, (choć o tym nie wspomina) spoczywająca na szwedzkim cmentarzu Ludwika Broel-Platerowa. Otóż chodzi o odszukanie na Starym Mieście w Lublinie domu, w którym urodził się pierwszy mąż „babci Platerowej”, znany polski kompozytor Ludomir Michał Rogowski: w prostej linii dziadek Barbary Gagnelid. Dom ten znajdować się miał przy ulicy, do której wiedzie droga przez bramę „starej baszty”...

Aliści nie trzeba długo szukać: dom „Pod Czarnym Orłem”, w którym 3 października 1881 r. urodził się Ludomir Rogowski stoi przy ulicy Bramowej 2, tuż zaraz za Bramą Krakowską, ową „starą basztą”. W 1981 r., w setną rocznicę urodzin artysty, Towarzystwo Miłośników Lublina umieściło na frontonie budynku stosowną kamienną tablicę pamiątkową.

Nawiasem mówiąc, Ludomir Michał Rogowski był człowiekiem tyleż utalentowanym, co niekonwencjonalnym. I zapewne późniejsza hrabina Platerowa nie wiodła u jego boku życia usłanego różami. Po urodzeniu się córki, zwanej imieniem Sława, Rogowski opuścił Polskę i osiadł na stałe w Jugosławii. Tam zmarł 13 marca 1954 r.

A tymczasem Ludwika Rogowska, znalazłszy się podczas I wojny światowej w Paryżu, gdzie pracowała w sztabie twórcy polskich oddziałów we Francji, generała Hallera, poznała

tam swojego przyszłego drugiego męża, przystojnego oficera, bohatera spod Verdun, wywodzącego się z Kurlandii, hrabiego Józefa Broel-Platera.

W dwadzieścia kilka lat później Józef Plater, aresztowany w Warszawie przez hitlerowców zginął w Dachau. Jego żona trafiła najpierw na Pawiak, gdzie z poświęceniem niosła pomoc współwięźniarkom, a potem - na kilka lat do Ravensbrück. Do Szwecji przyjechała, jako tłumaczka z grupą uratowanych od śmierci Francuzek - „królików doświadczalnych”...

- Była wspaniałym człowiekiem, kobietą pełną poświęcenia, osobą wielkiego formatu - mówi o niej Barbara Gagnelid. - A wie pan - dodaje po chwili - ja w Lublinie miałam także jedną z dalszych ciotek. Umarła w Warszawie przed dwoma laty, ale kazała się pochować tutaj, obok swojego ojca, w grobie rodzinnym na cmentarzu przy ulicy Lipowej. Nie wiem, czy uda mi się odszukać jej grób...

- A jak się nazywała ciotka „z domu”?

- Jaczewska. Była córką lubelskiego doktora Jaczewskiego.

- To nietrudno będzie pani ten grób odnaleźć. Warto też pójść na ulicę nazwaną nazwiskiem doktora Jaczewskiego, wspaniałego lekarza i społecznika. I obejrzeć stojący przy tej ulicy szpital.

A później proszę opowiedzieć o tym wszystkim swoim polską uczniom w Szwecji!

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 16, s. 3.